

ZIARNO



I. W. GODWARD.

PRZY STUDNI.

O polskość miast naszych.



awiązana świeżo w Krakowie rada „Ligi dla spolszczenia miast” nadsyła nam godną jak największego poparcia odezwę treści następującej:

Wskutek wiekowych zaniedbań i tragicznych przejść z naszej przeszłości, znaleźliśmy się obecnie w tem smutnem położeniu, że musimy przystąpić do ponownego zdobycia miast naszych, w których żywioł rdzenny, żywioł polski zepchnięty został do upokarzającej roli mniejszości zwłaszcza w dziedzinie gospodarczej. Stosunek ten, przeciwny samej logice życia, stosunek typowy dla całego obszaru naszej ojczyzny, występuje w jaskrawy sposób także w tej części Polski, którą zamieszkujemy.

Dokładny obrachunek naszych sił w miastach daje wyniki wręcz fatalne. Tam, gdzie toczy się pieniądz, gdzie wypracowują się i gromadzą realne wartości, znajdujemy się na szarym końcu, przedstawiamy po prostu strzępy. Udział nasz w handlu, w tej najrozleglejszej i najważniejszej sferze życia miejskiego, jest przerażająco znikomy: ludność polska zajmuje zaledwie 15 proc. w ogólnym ruchu handlowym, a tylko niespełna 10 proc. w handlu pieniężnym. Własność nieruchoma stopniała w naszych rękach do trzeciej części. Stacamy się szybkim krokiem na poziom ludności najniższej opodatkowanej, najuboższej, a tem samem najmniej znaczącej. Nasz wpływ polityczny staje się też coraz bardziej pozorny — istotna, na sile, nie na pozorach oparta władza nie do nas już częstokroć należy.

Cierpią wskutek tego najżywotniejsze interesy naszego narodu. Cokolwiek czynimy dla obrony, dla wzmocnienia i utrwalenia naszego bytu, wszędzie musi paraliżować nas ów fatalny niedobór. Krążenie krwi w organizmie polskim nie może odbywać się prawidłowo. Nasz młody przemysł nie ma pośredników, narodowo zainteresowanych w jego istnieniu. Nasz obieg pieniężny nie ma dróg prawidłowych. Nasza twórczość kulturalna ma o tyle mniej zapotrzebowania. Nasza praca oświatowa ma o tyle mniej szermierzy. Wszystkie działania nasze muszą być słabsze, cały zbiorowy trud mniej skuteczny.

To wszystko woła o naprawę wyteżoną i rychłą.

Naród bez własnego wyteżonego życia miejskiego ostać się nie może. Polska musi wytworzyć sobie miasta nie przybrane w maskę polskości, jak dziś, lecz rzeczywiście i bez zastrzeżeń polskie, całą swą duchową i fizyczną istotą związane z narodem, i to żądanie odwieczne, które pokutowało w duszy wielkiego Staszica, musi stać się ciałem, jeśli nie mamy zostać wieki kuistym kaleką bez widoków lepszego jutra.

Zrozumienie tej konieczności, do niedawna jesz-

cze dostępne tylko szczupłej liczbie jednostek najczujniejszych i najbystrzej patrzących, zaczyna w ostatnich czasach przenikać koła coraz szersze. Mnożą się oznaki iż budzi się nakoniec nasz instynkt zachowawczy. Samorzutnie powstają drobne zrzeszenia, które szukają dróg wyjścia z dzisiejszego położenia. Lecz luźne i rozproszone próby, działające w oderwaniu od siebie, często bez wzajemnej o sobie wiadomości, nie mogą wpłynąć skutecznie na bieg życia. Konieczność wymaga, aby zeszyły się razem i działały wspólnie i organicznie.

To zadanie ujęcia dotychczasowych oderwanych wysiłków w jedno łożysko podejmuje zawiązane w Krakowie stowarzyszenie pod nazwą „Liga dla spolszczenia miast”. Rozumiejąc, że w nazwie tej mieści się raczej ideał, niż program rzeczowy, możliwy do przeprowadzenia siłami jednego, choćby największego zrzeszenia, Liga nakreśliła sobie nadewszystko misję przygotowawczą. Pragnie postawić na porządku dziennym zagadnienie istotnego unarodowienia miast polskich. Pragnie wychowawczo i praktycznie torować drogę wielkiemu dziełu. Pragnie zebrać i zespolić wysiłki już istniejące, a rozstrzelone.

Jako organizacja, stojąca najzupełniej poza obrębem wszelkich prądów i interesów partyjnych, dążąca do zszeregowania w swych ramach żywiołów różnorodnych w imię sprawy, całemu narodowi wspólnej, Liga wzywa gorąco do przystąpienia i współdziałania w jej przyszłym działaniu wszystkich, którzy grozę naszego położenia rozumieją, wszystkich, którzy w słowach niniejszych odnajdą część własnych trosk i własnych pragnień.—

Uznając w całej pełni zamiary i dążenia Ligi krakowskiej, wyrazamy szczerą radość, że to, co dla nas w Królestwie Polskiem jest jasnym i zrozumiałym od dwu lat, weszło obecnie na program rodaków galicyjskich.

Odezwa nie wymienia czynnika, który zagraża polskości miast galicyjskich. Jest jasnym, że może mieć na myśli tylko zalew żydowski, przed którym bronić się pragnie wszelkimi siłami. Możliwym jest to tylko, jeżeli Liga przyczyni się do stworzenia polskiego przemysłu i handlu i wpłynie na ogół, aby usilnie popierał dwie tak ważne dziedziny życia ekonomicznego narodu. Słusznym też jest twierdzenie Ligi, że tylko wtedy podnieść się może twórczość kulturalna i oświatowa, czyli że życie miejskie stać się musi wzorem dla pracy całego narodu.

Dla nas objaw ten obudzenia się idei narodowej w Galicji jest ważną wskazówką i zachętą do wytrwania na obranej w Królestwie Polskiem drodze do unarodowienia naszej pracy i twórczości. Kraj, który mo-

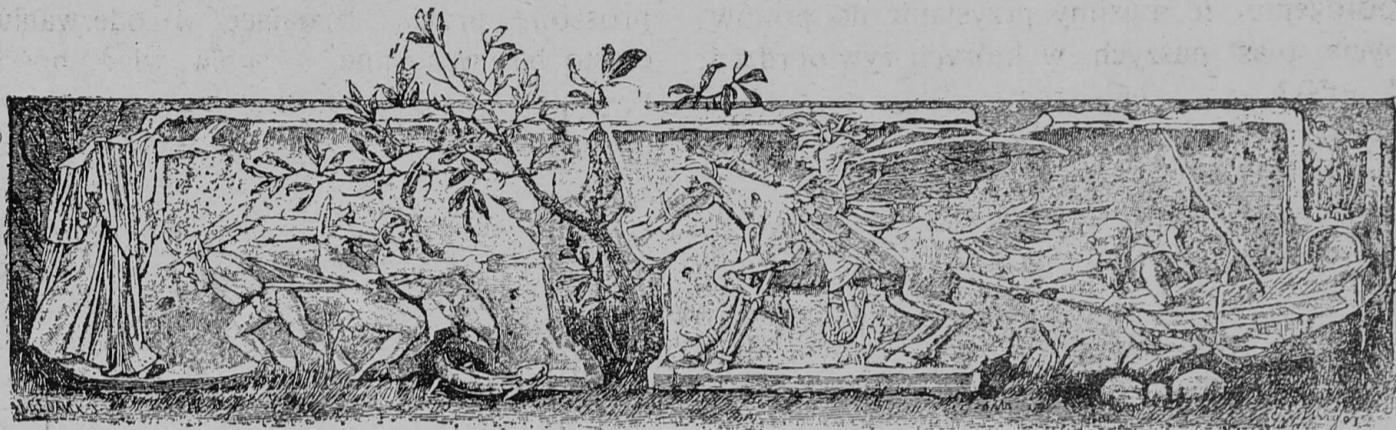
że wyżywić dwa miliony żydów, będzie mógł dać chleb tym setkom tysięcy rodaków, którzy szukają poprawienia swego losu na wychodźstwie i w Ameryce.

O tyle stoimy wyżej od galicjan, że dla nas wezwanie do zaniechania sporów partyjnych jest zbyt zbytnem. Czy ktoś w przekonaniach swych politycznych jest mniej lub więcej demokratycznym lub radykalnym, nie odgrywa u nas tak wielkiej roli, aby o ten szkół rozbić się miała wspólna praca narodowa dla spolszczenia miast polskich i unarodowienia handlu i prze-

mysłu w Królestwie. Wszystkie stronnictwa szczerze polskie, o ile jeszcze istnieją na papierze, zgodziły się już dawno na to jedno: wobec wspólnego wroga, wobec sjonistów i litwaków, niema różnic partyjnych, jest tylko jeden wysiłek: obrona kraju naszego przed zalewem żydowskim.

Że przekonanie to przeniknęło do zdrowego rozsądku naszych braci galicyjskich jest skutkiem zdrowego przykładu Królestwa Polskiego.

T. W. J.



PIOTR JAXA BYKOWSKI.

PAMIĘTNIKI WŁÓCZĘGI.

MYSZURES.

(C. D.)

Nieszczęsna matka, dawszy upust tej boleści, tak dalej mówiła:

— Cóż robić? Kiedy Bóg tak dał, nie chcę na próby przymusu narażać twoich uczuć. Atoli, moje dziecko, zastanówmy się bliżej nad obecnym naszym położeniem. Wiadomo ci, że jesteśmy w kompletnej nędzy; czas choroby ojca i od jego śmierci, przeżyliśmy kosztem Krzuckiego. Wprawdzie za to pilnowałam jego [dobra, które mu zwracamy w pożądanym stanie, więc w tem nie ma nic nagannego... Rośliam sobie, wyznam ci, polegając na waszych wspólnych uczuciach, że za jego powrotem pozostaniemy tak nadal; ty w domu twojego męża, a ja przy mojej pracy możebym nie była dla was ciężarem. Dziś te wszystkie plany rozwiane; przez ten twój wstąpienie niepojęty dla mnie, musimy ten dom opuścić, nieść w świat nędzę naszą i zarabiać ciężko na kawałek chleba. Ja potrafię, boś mię widziała w pracy, ale ty, moje dziecko, wypieszczona w dostatkach i zbytku od dzieciństwa, czy się poczujesz na siłach?... Bo w każdym razie, przy zmianie twoich usposobień dla Krzuckiego, pobyt nasz tu nie da się usprawiedliwić.

Córka ciągle łkała z cicha, słuchając mowy matki, aż nakoniec wybuchnęła głośnym płaczem:

— Oh! dwie takie ostateczności, pomiędzy któ-

remi los mię stawia: praca i ta nieszczęsna blizna, na którą patrzeć nie mogę... A on taki był piękny, kiedy się żegnał ze mną; jego takim wiecznie kochać, wiecznie ubóstwiać będę, tylko niech na niego nie patrzę...

— Moje dziecko, taka wybujałość dziecinna nie przystoi kobiecie w dwudziestym drugim roku; czas spojrzeć poważnie na życie, które, jak widzisz sama, takie nam stawia warunki — upomniała surowo ją matka.

— Mateczko, nie naglij, daj mi trochę czasu, może się oswoję z jego powierzchownością... O, bo go tak kocham!

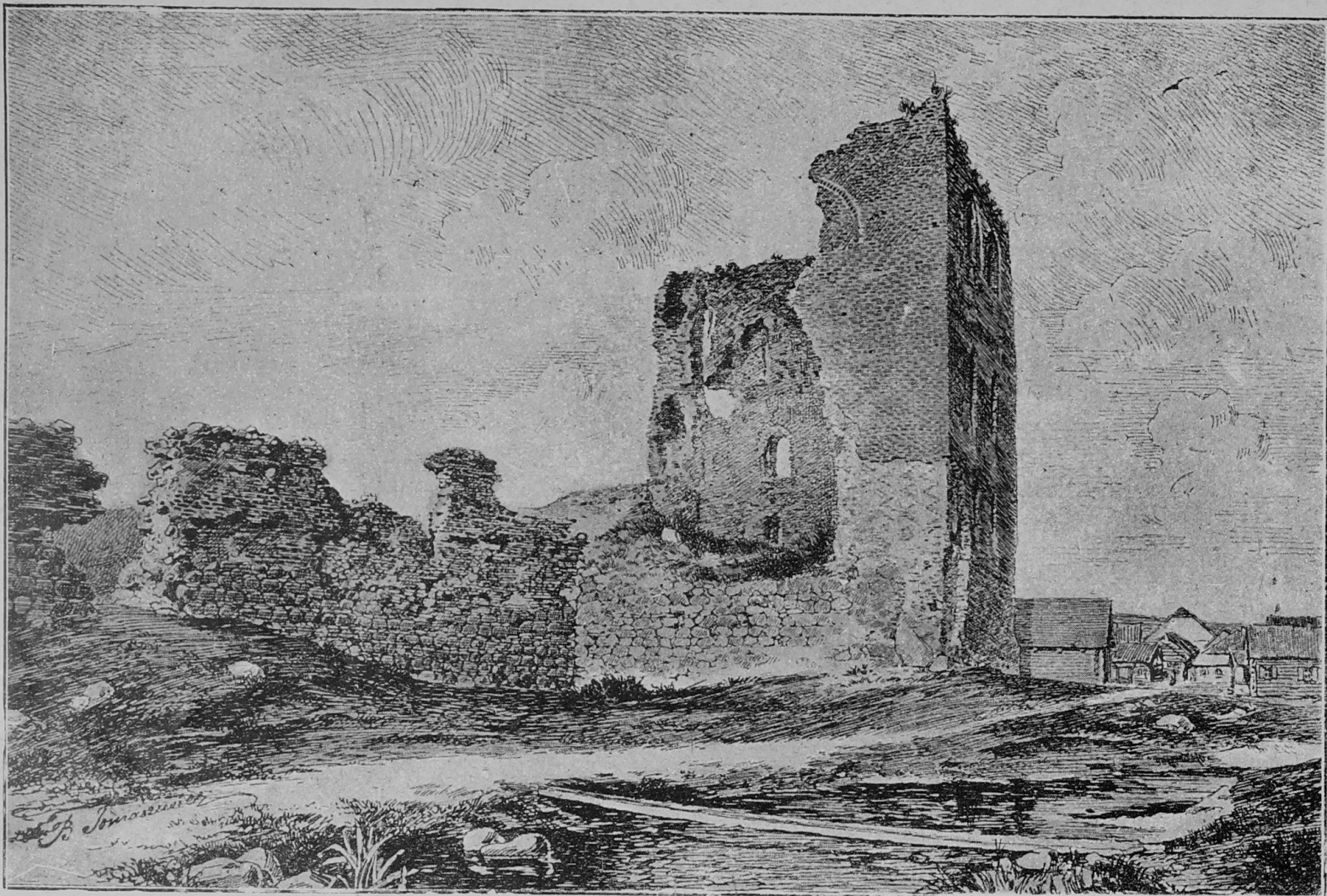
VII.

Narzeczeni.

Począło się w dworku życie przymusu pełne: Olimpka w ciągłym rozstroju, drżąca, zdenerwowana, unikała spojrzenia Krzuckiego, lecz ile razy mogła zejść go niespostrzeżona i dojrzeć z boku, całemi godzinami wpatrywała się w niego.

Krzucki, prawdopodobnie odgadując wstąpienie dziewczynie, unikał jej także; starał się jak najmniej narzucać i odbiegał od wyrzeczenia ostatniego wyrazu, który tyle dlań posiadał uroku i do czego naglił Hamaniec, często powiadając:

— Kto, u kata, wyrozumie dziwne postępowanie dzisiejszej młodzieży? Wzdychał za dziewczyną przez całą kampanję, jak miech kowalski; za jakimś jej łachmanem wlaźł bezbronny do fortecy szwabskiej, omal że go tam na bigos nie posiekli, a teraz jak przyszło co do czego, stoi jak kołek i nie zdobędzie się na te proste wyrazy: „Pójdź sam tu aścka



KREWE

Dzieje założenia miasta Krewa giną w zamierzchłej przeszłości. Położone w ziemi wileńskiej nad rzeczką Krewianką, było za czasów panowania książąt litewskich kiedyś dużą osadą; obecnie jest to upadła miejscina zżydziała, jak wszystkie polskie i litewskie miasteczka i liczy zaledwie dwa tysiące mieszkańców. Na krańcach Krewa znajdują się ruiny niegdyś wspaniałego i obronnego zamku, którego założyciela również kryją mroki historii. Wiadomo tylko, że miasto było około roku 1338 stolicą udzielnego księstwa i należało do Olgierda, syna Giedymina.

Po śmierci Olgierda, syn jego Jagiełło, wygnany z Wilna przez Kiejstutę, osiadł w roku 1384 na zamku krewieńskim jako w dzielnicy ojczystej. W następnym jednak roku wrócił do Wilna i porwawszy Kiejstutę, wówczas sędziwego już starca, wtrącił go do więzienia w jednej z baszt zamku krewieńskiego, w której go z rozkazu Jagiełły dworzanie udusili. W tymże zamku więziony był także syn Kiejstuty,

Witold, lecz ten przy pomocy swej żony Anny zbiegł szczęśliwie.

W roku 1385 przyjmował Jagiełło na zamku krewieńskim posłów polskich i węgierskich i zawarł z nimi układ, określający warunki przyjęcia korony polskiej.

Od czasów Jagiełły Krewa nie posiadało już książąt udzielnych, lecz wchodziło w skład posiadłości wielkoksiążęcych i od tej to pory zaczyna się upadek kwitnącego niegdyś miasta.

Jagiełło za czasów swych rządów wybudował tu ośm świątyń katolickich. Kościół parafjalny otrzymał zarówno od niego jak i później w roku 1440 od Kazimierza Jagiellończyka liczne nadania.

Zamek krewieński zburzony przez tatarów w roku 1518 za czasów króla Aleksandra nie doczekał się już odbudowania.

W okolicach Krewa mieszka znaczna liczba tatarów, osadzonych w swoim czasie przez Witolda. Dokoła ruin zamku zaś znajduje się mnóstwo kurhanów i starych mogił pogańskich, otoczonych wałami, dochodzącymi nieraz do 2 sążni wysokości.

na słubny kobierzec?" Chybaż to musi być łatwiej zdobywać twierdzę, niż podwikę.

On sam tylko z tej czwórki zaczarowanej nie tracił fantazji: sam się musztrował, jakąś wymyśloną służbę pełnił, a gwizdząc sobie marsza wojennego, nawąchiwał zapachu prochu na cztery strony świata.

To życie udane i nieszczerze najwięcej gnębiło biedną matkę. Cierpienia córki nie mogły być dla niej tajemnicą, nie obojętnie też patrzyła na dwuznaczne położenie Krzuckiego, który im tyle po-

święcał, i teraz chcąc upozorować pobyt u siebie Zadorzyny, pod pretekstem, iż jeszcze nie wypoczął z trudów wojny, uprosił ją, aby zatrudnienia gospodarskie, jak dotąd, przy sobie zostawiła.

— Wiesz asindzka co, znam ja zakochanych; to djabła warte, a tak się czegoś na siebie boczą, jak środa na piątek. Ot, pożeńmy ich, a gdy się bliżej poznają, będzie i po caregielach! Radzi nie radzi, muszą ciągnąć dalej—przekładał Zadorzynie po swemu Hamaniec.

— Olimпка chciałaby donosić żałobę po ojcu.

— Kiedy serce dyktuje, to i owszem, ale wyprawmy im zaręczyny, jedno drugiemu nie przeszkadza, a zawsze staną na twardszym gruncie.

I matka była nie od tego, aby wyjść z tego dwuznacznego położenia i jakoś tam się te zaręczyny odbyły.

Narzeczeni wszakże nie przestawali stronić od siebie: on zapewne przeczuwając odrazę, jaką w niej wzbudzał, jak najmniej się narzucał; Olimpja zaś, pomimo napomnień matki, coraz bardziej od niego stroniła.

W krótki czas po zaręczynach Krzuccki udawszy się do grodu sporządził formalny zapis wsi na rzecz Olimpji, a składając ten akt w ręce matki z nieśmiałością powiedział:

— Nie weźmiesz mi pani za złe tego postąpienia, gdyż jest zwyczaj, że narzeczone daje podarki swojej oblubienicy. Ja, jako obozowiec od dzieciństwa, nie tyle znam się na tem, możebym nie umiał trafić do gusty panny, więc wolałem ofiarować, co już mam pod ręką...

— Ależ, panie Florjanie, dar to zanadto wspaniały, to ofiara całego twojego mienia... Zresztą, kto wie, czasem zdarzają się wypadki, iż oblubienicy od ołtarza się rozchodzą i pan się wydziedziczasz z jedyne go majątku...

— Wybaczcie pani, ale nie z jedyne go, bo sumka, którą mi nieboszczyk mecenas zaoszczędził, stanowi więcej niż wartość tej wioski... Wdzięczny mu jestem, ale kto wie, może i on pracował w tej myśli, iż czyni to w połowie dla swej faworytki córki; niech więc, kiedy mamy dzielić życie z panną Olimpją, i podział mienia przy tej sposobności nastąpi.

— Jesteś najszlachetniejszym z ludzi — wymówiła z łzami Zadorzyna, przyciskając usta do czoła młodzieńca.

Trzeba było uwiadomić córkę o wspaniałomyślnym darze oblubieńca. Matka spieszyła z tą nowiną,

przypuszczając, iż ten czyn szlachetny w sercu Olimpji roznieci dawne uczucia i córka wstręt ku Florjanowi przezwycięży ostatecznie.

Rzekła więc wesoło do córki:

— Wiesz, Olimpko, żeś piękny dar otrzymała.

— Od kogo? od mateczki?... Niech mama nie żartuje; wiem, że mama by mi nie żałowała, ale kiedy my takie biedne, że sobie nic darować nie możemy.

— Otóż wiedz, że Słotwiany twoje.

— A to zkad?

— On ci je dał, przez formalny zapis.

— Pan Krzuccki?

— Twój narzeczoney.

To mówiąc, podała jej dokument, wręczony niedawno przez Florjana.

Dziewczyna konwulsyjnie rozwarła papier, oczy jej rozgorzały jakimś niezwykłym blaskiem i rozpoznała:

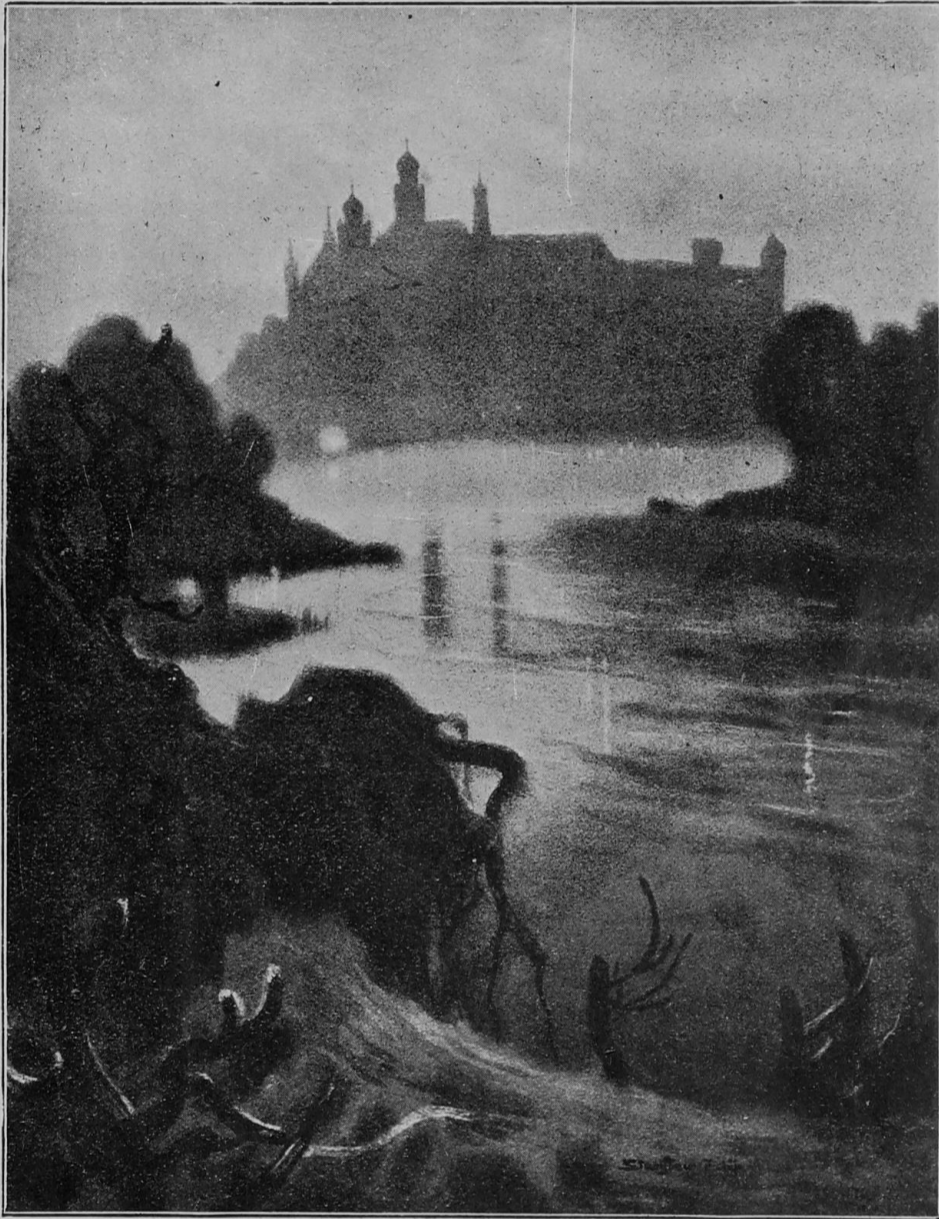
— Kiedy tak stoi sprawa i nie żartujesz, matko, a Słotwiany moje i ty masz zapewnioną wygodną starość, w takim razie widłami pisano, czy on jest jeszcze moim narzeczonem i czy kiedy będzie czemś więcej?... — wypowiedziała spieszenie dziewczyna z jakimś szatańskim uśmiechem.

Matka pobladła i osłupiała na tę mowę, nie znajdując na

nią odpowiedzi. Córka zaś, zacierając ręce, chodziła po pokoju rozpromieniona:

— Cha, cha! mateczko, najlepsze rozwiązanie tej komedji, która się tak smutno dla mnie zaczynała... Słotwiany nasze! Nie magnacka to fortuna, ale jest, jak mówią, o co ręce zaczepić; jeszcze kto wie, użyję świata jak inne, nakoniec wydobędę się z tej głuszy poleskiej i przestanę się przymuszać...

— Olimpjo! — zawołała matka surowo — czy ty żartujesz? Ta twoja mowa bezczelna serce mi mrozi! Czyliż możesz, nie zostając jego żoną, przyjąć dar taki, jak jałmużnę, rzuconą z rąk obcych?... Jeżeli go nie chcesz, oddaj mu ten zapis, a same idźmy w świat...



St. Fabjański.

Noc św. Jana pod Wawelem w XV wieku.

— Jak żebraczki, bez dachu i przytułku! — z szyderczym śmiechem zawołała córka. — Tymczasem pięknie mu się uśmiechnę i podziękuję; zaraz nie zerwę naszych zobowiązań, byłoby to jakoś nieforemnie, ale na koniec on pójdzie z moich Słotwian, z *moich*, słyszy mama! — dodała, kładąc nacisk znaczący na tem słowie.

— Dziewczyno! na miłość Boga, z kąd ty wzięłaś takie zimne i przewrótne serce? Nigdy cię taką nie znała! — krzyknęła matka z rozpaczą.

— Bieda, mateczko, nauczyła. Porównywałam sobie nieraz to nasze życie, kiedy ojcu dobrze się działo w Krzuckach, a potem kiedy byliśmy z tego raju wygnane, biedne sieroty, na cudzej łasce — mówiła z lodowatą obojętnością Olimpja.

— Ja ci zabraniam przyjęcia tego zapisu, jeżeli przytem trwasz w zamiarze zerwania z Krzuckim — wyrzekła matka surowo — wyciągając rękę po papier.

— Mateczko, na ten raz, pierwszy w życiu, doznasz nieposłuszeństwa najpowszechniejszej z córek — odparła dziewczyna z zimnem szyderstwem, chowając papier w zanadrze.

— Ja tego nie przeniosę, takiego postępuku uznać nie mogę i jutro jeszcze opuszczę Słotwiany. Przeniosę kij żebraczy nad takie nikczemne postępowanie z najszlachetniejszym z ludzi!...

— Wyjdziemy, matko, obydwie, tylko nie z kiejem żebraczym, ale z tym zapisem. Tu nudna i głucha okolica, pies tu nie zajrzy, a wdzięki i młodość zwiędnąć mogą... Wypuszczę w dierzawę Słotwiany, a same...

— Dziewczyno! opamiętaj się i nie doprowadzaj mię do ostateczności, bo mi się jeszcze przekleństwo z ust wyrwać gotowe. Tyle bezczelności w duszy, tyle zimna w sercu, ty chyba nie jesteś moją córką!...

Zadorzyna wypowiedziała to przerywanym i rozpaczliwym głosem, poczem bez czucia padła na ziemię.

Popłoch w domu powstał wielki, bo chora nie odzyskiwała czucia ani przytomności, pomimo starań ogólnych, jakimi ją otoczono. Nikt z obecnych, oprócz Olimpji, nie znał powodów choroby, a że wszyscy bardzo miłowali Zadorzynę, każdy spieszył z pomocą. Hamaniec, niemniej zatrwożony od innych, mrucał z złością:

— Wdajże się z babami, a to kaci jej nadali chorobstwo; zdrowa przed chwilą jak rydz, a teraz się wyciągnęła jak rekrut, gdy kulą w łeb dostanie!

Łając i mrucając, zarządził rozstawne konie i sam popędził do Łucka po lekarza, którego przybycie utwierdziło przytomnych w tej fraszobliwej myśli, że chora pono nie wyjdzie z niebezpieczeństwa.

Nastąpiła silna maligna, chora zaczęła majaczyć, mówiła coś niezrozumiałego dla wszystkich:

— Florjanie! odbierz zapis... nie łącz się z tą

jędzą bez serca... będziesz nieszczęśliwy... tyś zacny, wart lepszego losu...

Na niejasne słowa chorej nikt z przytomnych nie dawał baczenia; córka troskała się o matkę, lecz milczała jak zaklęta.

Na trzeci dzień chora jakby wydobrzała na pozór i zażądała pomocy duchowej, a gdy skończyła z Bogiem, prosiła, aby ją sam na sam z córką zostawiono. Długo trwała ta rozmowa; po całym domu rozlegały się głośne łkania i płacz córki. Poczem wezwała chora Krzuckiego i Hamańca i do ostatniego tak powiedziała:

— Krewnych nie posiadam, córki i opieki nad nią nie mam komu powierzyć. Siostra jej daleko, sama obciążona rodziną. Ale nad ciebie nie mam lepszego przyjaciela, którego staraniom i trosce powierzam moje dziecko. Zresztą niebawem znajdzie innego opiekuna, w osobie swojego narzeczonego, którego obiecała poślubić jak najspieszniej; radabym nawet, ażeby żałoba po mnie nie była powodem zwłoki... Ale ty, mój dobry Hamańcze, zawsze czuwaj nad nią.. Teraz, dzieci, chodźcie tu prędko, niech was błogosławię, bo mi już czas wielki...

Olimpja i Krzucki ukłękli przy łożu śmiertelnem. Chora zbierając sił ostatek złączyła ich ręce w stygnącej dłoni i coraz słabnącym głosem wyszeptała:

— Błogosławię was!... Córko, pamiętaj, przysięgłaś... przebaczam ci, pod warunkiem...

To były ostatnie słowa umierającej.

(d. c. n.).



Do dziatwy polskiej.



„Na znojny wam się marzy siew,
Na twarde w życiu ścieżki,
Bo macie w sobie czystą krew,
Krew polską... bez przymieszki!

Dziedzictwem waszem będzie trud,
Pracowna dola: w spadku,
Boście kość z kości polski ród,
Nie „z łaski“ lub przypadku...

A kto was mianem będzie zwał,
Ten w mianie wam już przyzna,
Że nie chleb tylko was tu siał,
Nie z chleba wam... ojczyzna!”

EL.



Skutki zbrojeń.

Z wszystkich stron świata, nawet z Ameryki i Australji, nadchodzą skargi na wzrastającą wciąż drożyznę.

Drożyzna stała się klęską międzynarodową. Międzynarodową też musi być akcja, przeciw tej klęsce podjęta. Poczyniono już pierwsze kroki ku zwołaniu komisji, złożonej z przedstawicieli wszystkich krajów, która ma obmyśleć środki dla zaradzenia nieszczęściu. Tymczasem zaś czynią się tu i owdzie przygotowania do tej międzynarodowej narady.

Dla zbadania palącej sprawy drożyzny stan amerykański Massachusetts powołał komisję biegłych, która świeżo właśnie przedstawiła swoje sprawozdanie.

W raporcie tym powiedziano między innemi, że po dokładnem rozważeniu przyczyn ustawicznego drożenia środków żywności, komisja przekonała się, iż na ich czele trzeba postawić militarizm z jego wojnami, spustoszeniami i coraz większymi podatkami. Wielkie wojny, stoczone w ostatnich latach: burska, hiszpańsko-amerykańska, mandzurska, trypolitańska i bałkańska, oderwały na długo miliony ludzi od wydajnej pracy, a energję innych milionów ludzi, zatrudnionych przedtem na niwach, w fabrykach i wszelkich warsztatach, zużyły na przygotowanie materiałów wojennych, żywności i odzieży dla walczących. Miljardy pieniędzy oderwano od wytwórczych zakładów, zebrano je z całego świata i zużyto na wojny. Ulotniły się one z dymem prochowym.

„Formalny szal militarizmu — piszą w raporcie — doprowadził państwa to tego, że trzymają one pod bronią armje, które nigdy nie będą walczyły, ponieważ wszystkie państwa wzajemnie się boją. Budowane są liczne floty — zupełnie nieużyteczne, gdyż zanim przyjdzie do starcia, trzeba odnowić okręty. Ten szal militarizmu sprawił, że największą sztuką rządu stało się wyszukiwanie nowych podatków. Nie jest zadaniem komisji przedstawiać następstwa tego stanu rzeczy w wszystkich państwach, przeto ograniczyła się ona tylko do wystudjowania stosunków w Stanach Zjednoczonych, które z wielkich mocarstw najmniej łożą na militarizm. Okazało się z tych studjów, że od roku 1879 do roku 1909, a więc w ciągu lat 31 wydały Stany na armję, flotę, emerytury i opłatę procentów od długów zaciągniętych na wojnę: 12 miliardów 210 milionów 499,778 dolarów (okragłe 26 miliardów rubli), a jednocześnie na wszystkie inne potrzeby państwa: na sprawiedliwość, oświatę, pielęgnowanie chorych itd. wydały 3 miliardy 479 milionów 695,805 (okragło licząc 7 miliardów rubli). Co z tego wynika? Oto mocarstwo, najmniej stosunkowo hołdujące militarystom, które w ciągu swego 120-letniego istnienia stoczyło tylko trzy wojny, wyłożyło z do-

chodów narodowych 71 i pół proc. na zbrojenia, a tylko 28 i pół proc. na cele kulturalne. Ileż zatem musiały wydać na wojnę inne mocarstwa!“

Taki jest jeden dokument. Drugi pochodzi z międzynarodowego instytutu pokoju, a zawiera cyfry kosztów wojen, stoczonych w ciągu ostatniego półwiecza. Według obliczenia tego, w ciągu ostatnich lat pięćdziesięciu, co roku przeszło 400 milionów rubli wyrzucono na wojnę. W tym czasie, z powodu owych wojen, zginęło lub zostało inwalidami na koscie państwowym, albo wreszcie otrzymało pensje wdowie i sieroce miliard 952 miliony i 400 ludzi. Jak ogromnie musiało to powiększyć wydatki!

Oczywiście niepodobna było pokrywać tych olbrzymich sum z podatków, przeto zaciągano długi, które w roku 1912 wyniosły w całej Europie 148 miliardów 580 milionów 500 tysięcy franków. Sam procent od tej kwoty wynosi co roku przeszło 6 miliardów franków.

Wszyscy ekonomiści zgadzają się na to, że wzrastające z roku na rok zbrojenie państw doprowadzić musi nieuchronnie do katastrof ekonomicznych, a sprawa drożyzny obecnej, to tylko wstęp do wiele poważniejszych i donioślejszych przesileń.



Nieudana łucieczka.

NOWELA.

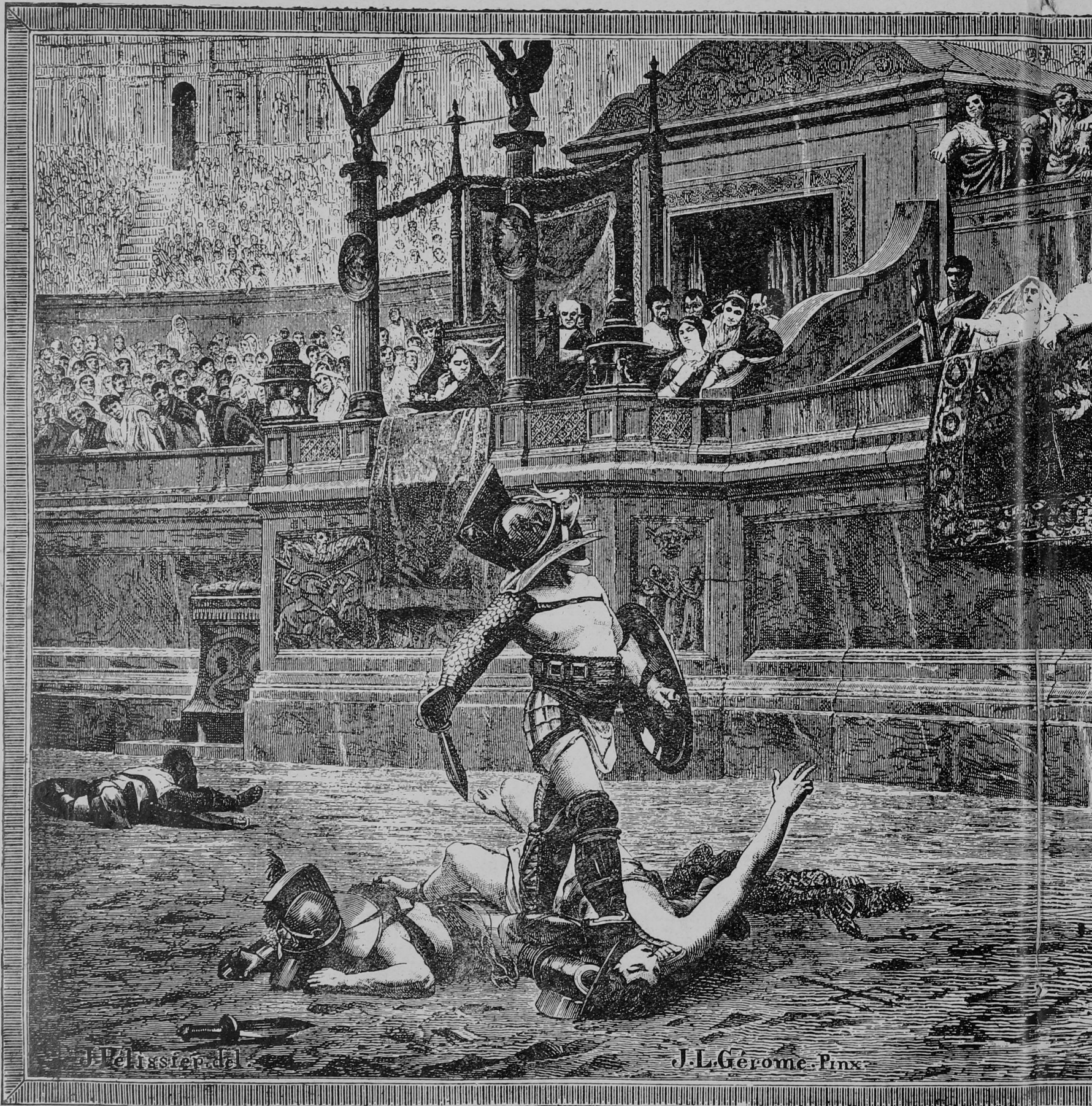
— Panie Andrzeju! Panie Andrzeju!...

Te dwa wyrazy słyszano najczęściej na dziedzińcu i w refektarzu i na długich korytarzach więzienia św. Łazarza w Paryżu podczas pamiętnego miesiąca sierpnia roku 1794. Wychodziły one z ust ślicznej dziewiętnastoletniej panienki, Emmy de Coigny, uwięzionej za to jedynie, że była córką generała de Coigny, dawnego szambelana królowny Elżbiety. W ponurym gmachu spotkała sławnego poetę, Andrzeja Chénier, który w natchnionych wierszach wysławiał jej młodość i piękność.

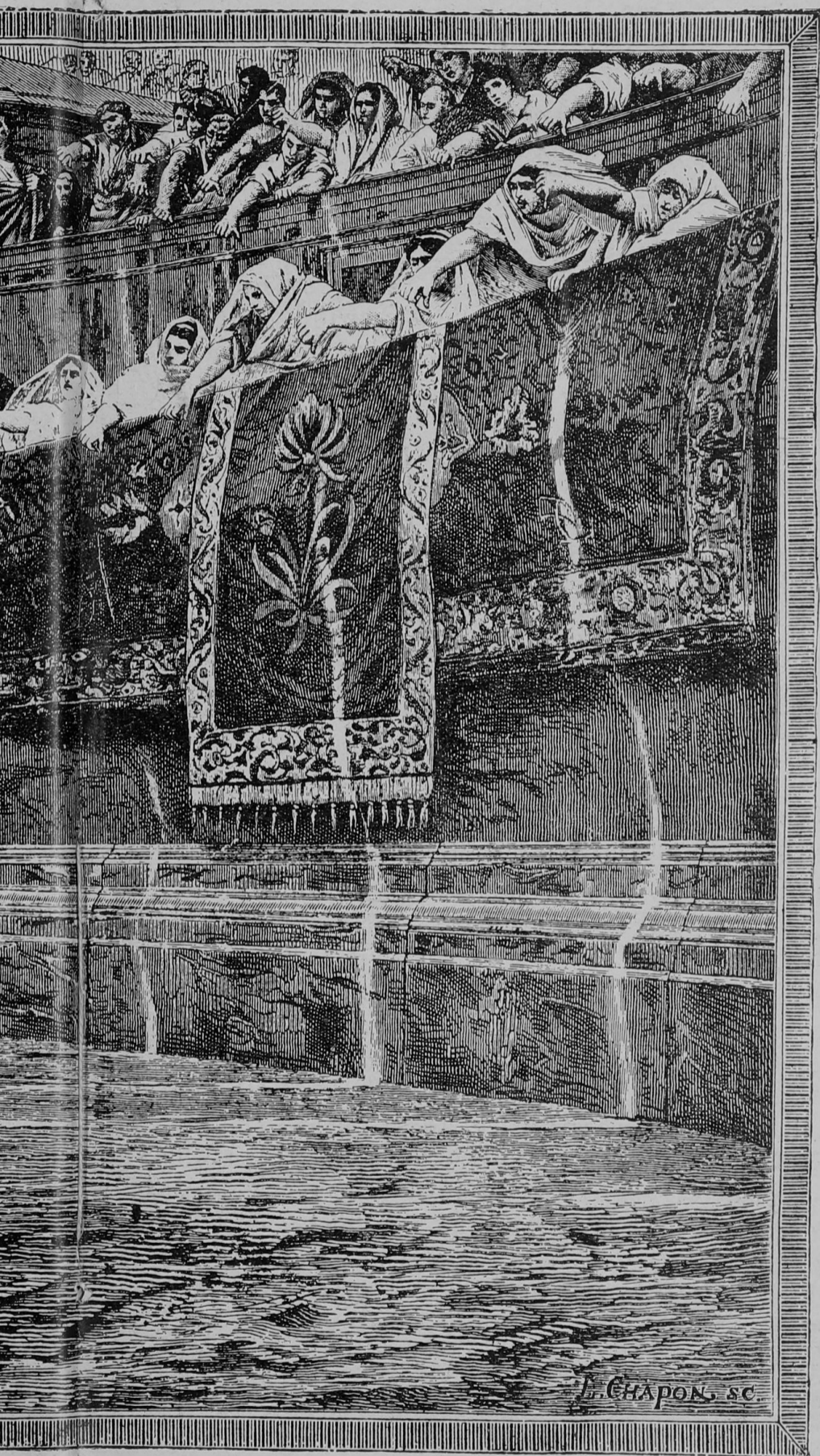
Emma otrzymała bardzo staranne wychowanie i znała nie tylko literaturę francuską, ale i arcydzieła pisarzy łacińskich. Towarzystwo wieszczów, który uczuł ją zasad poetyki, było jej najmiłsze, ciągle więc widywano ich razem.

— Panie Andrzeju! — zawołała, widząc go zdaleka — dzień już na schyłku, a ja nie miałem jeszcze lekcji.

— Proszę o przebaczenie za moją opieszałość, ale żyjemy w czasach tak burzliwych, że zapominam się o najważniejszych obowiązkach. Usiądźmy na tej ławce.



J. L. Gérôme.



Walka w arenie rzymskiej.

W amfiteatrze rzymskim rozpoczęły się widowiska. Ozwały się przeraźliwe odgłosy trąb, a następnie zaległa arenę cisza wyczekiwania. Aż otworzyła się, niby czeluść czarna, arena i na plac jasny wystąpili gladiatorowie. Szli parami; obok ciężko zbrojnego traka czy gala postępował „retiarjus“ dzierżący w jednej ręce sieć, a w drugiej trójzab. Rozległy się oklaski i ozwał się przeciągły głos rogu, a zapaśnicy podnieśli w górę prawice, w stronę gdzie siedział cesarz otoczony swym dworem i wołali, a raczej śpiewali przeciągłą nutą:

Witaj, cesarzu i imperatorze,

Pozdrawiają cię na śmierć skazani!

Najprzedniejsza para wystąpiła naprzód. Zapaśnik okuty w zbroję, w wielkim hełmie na głowie i pancerzu, opinającym jego potężną pierś, i lekki, zręczny „retiarjus“, mahając z wdziękiem siecią, aby w nią uwikłać przeciwnika, śpiewając zwykłą pieśń sieciarzy:

Nie chcę ciebie, ryby szukam,

Czemu zmykasz galu?

Gra o śmierć była mistrzowska. Sieciarz unikał ciosów miecza i starał się zarzucić więzy na głowę gladiatora, który znów chronił się pod nastawioną tarczą. Aż nagle natarł gwałtownie i zanim „retiarjus“ zdążył mu podstawić trójzab, otrzymał cios w ramię. Jeszcze chciał przerzucić sieć w drugą rękę, jeszcze przemknął się — raz pod mieczem, aż powikłał się w broń własną i legł zwyciężony:

A tryumfujący gladiator postawił mu nogę ciężką na gardle i zwrócił się znów w stronę cesarza. Wraz zaś z wszystkich stron areny rozległ się krzyk ogłuszający, żądający śmierci zwyciężonego. Imperator popatrzył chwilę, wysunął rękę z podium i zwrócił wielki palec ku ziemi. Znak powtórzyły zaraz westalki i senatorzy, a zwycięzca wbił miecz swój w gardło przeciwnika.

Peractum est — skończyło się — rozległy się głosy w amfiteatrze.

W ARENIE RZYMSKIEJ.

— Co panu jest? Czy otrzymałeś jakąś złą wiadomość? Dawniej zwierzałeś mi się z wszystkiego.

— Nic nowego nie zaszło. Straciłem wszelką nadzieję ocalenia i zamierzam przekupić dozorców, żeby przy ich pomocy uciec z tego piekła.

— Chcesz nas opuścić? — zawołała wzruszona panna de Coigny, ujmując jego rękę.

— Tak; pani jedynie tu mię zatrzymuje.

Opowiedział jej po cichu, że na wagę złota otrzymał od jednego z dozorców pilnik, którym przepiłował kraty więzienne; za oknem mularze położyli długą deskę, która opierała się o taras sąsiedniego ogrodu, gdzie czuwał jego brat i kilku przyjaciół; mimo ich nalegań, ociągał się jeszcze przez wzgląd na nią.

— A gdybyśmy uciekli razem?—zapytała.

— Nie śmiałem prosić o to...

— Nie zabraknie mi odwagi. Wszystko dobrze się składa: młody de Maillé, którego zawieziono dziś na rusztowanie, wręczył mi przed wyjazdem nowe ubranie, prosząc, żebym odesłała je krawcowi. Włożę je na siebie i będę udawała kawalera; w sukniach kobiecych łatwiej zwróciłabym uwagę.

— Znakomita myśl! — zawołał Chénier — uprzedzę dozorcę i tej nocy uciekamy razem. Będzie pani pod opieką mego ojca i twojej czci niewieściej nie zagrażać nie będzie.

— Mojej czci niewieściej tylko ja sama strzedz potrafię—dumnie odparła panna de Coigny.

Poeta wrócił do swojej celi i zajął się przygotowaniem do ucieczki. Przed północą przekupiony dozorca wpuszczył do niego pannę de Coigny, przybraną w wytworny strój męski i stokroć powabniejszą, niż zwykle. Chénier patrzył na nią z zachwytem, który wywołał rumieniec na świeże lica dziewczęcia.

— Nie traćmy czasu—rzekła—trzeba korzystać, póki mam jeszcze odwagę zawisnąć na wysokości 30 stóp w próżni.

— Chodźmy więc w imię Boże — oświadczył poeta.

Posadził pannę de Coigny na brzegu okna i wdrapawszy się za nią, polecił jej położyć się na desce, lekko nachylonej i w ten sposób spuścić się na taras sąsiedni, przytrzymując się rękoma. Noc była jasna na ich nieszczęście i sztyldwach, zwabiony szmerem, podniósłszy oczy, zobaczył jakąś postać wysuwającą się z okna. Rozległ się strzał i panna de Coigny rzuciła się w tył przerażona. Chénier pochwycił ją jedną ręką, drugą przytrzymując się pozostałych krat, których nie dopiłował. Deska wytrącona z równowagi przez gwałtowny ruch młodej dziewczyny, zachwiała się i runęła na dół, kładąc trupem czuwającego żołnierza.

Poeta był o tyle silny i przytomny, że zdołał wrócić do celi i znieść zemdloną pannę de Coigny, którą położył na swoim tapczanie więziennym. Był

pewny, że została raniona, ale nie wiedział, jak ją ratować.

Otworzyła wreszcie oczy i zobaczyła nad sobą oblicze poety zwilżone łzami.

— Co tobie jest, panie Andrzeju?—zapytała.

— Lękałem się, że pani została raniona — odrzekł cicho.

— Nie, zemdlalam z strachu. Coby moi przodkowie na to powiedzieli! Niegodna jestem tak sławnego nazwiska.

— Cieszę się, że pani się nic nie stało, ale o ucieczce nie możemy już marzyć; deska popchnięta twoją nóżką, spadła na ziemię.

— Gdybym przynajmniej mogła wrócić do mojej celi!

— Zawołam dozorcę.

W tej chwili dozorca otworzył drzwi i stanął na progu; słyszał łoskot spadającej deski i zaniepokojony, przyszedł zobaczyć, co się dzieje. Na prośby Andrzeja zaprowadził pannę de Coigny do jej celi i zaledwie zaryglował za nią ciężkie podwoje, zjawił się inspektor, żeby zbadać przyczynę niezwykłego hałasu.

Dozorca objaśnił go, że skutkiem silnego wiatru deska, leżąca poniżej okna celi obywatela Chénier, spadła na ziemię.

— Obywatel Chénier jest w celi — dodał.

— Tem lepiej — rzekł inspektor—właśnie jest na liście tych, którzy pójdą jutro pod gilotynę. Colot d'Herbois byłby bardzo niezadowolony, gdyby Chénier wywinął się od kary.

Andrzej usłyszał to i zadrżał. Był zgubiony. Resztę nocy spędził na pisaniu przeslicznych wierszy, które rozślawiły jego imię. Nazajutrz rano uniósł pannę de Coigny i wywieziony wraz z innymi skazańcami, nie wrócił już do więzienia.

Szczyt okrucieństwa.

Kapitan francuski, Paweł Gauthier, służący w armji kolonialnej indyjskiej, opisuje trudną do uwierzenia, nieprawdopodobną prawie zemstę jednego z królików tamtejszych, którego krwiożerczość i okrucieństwo nie ustępuje smutnej sławie rzymskiego Nerona.

Kapitan przeciągał z swym oddziałem wzdłuż rzeki Nam Oham-River przez miejscowość, słynną z mnóstwa tygrysów. Gdy nadszedł wieczór, żołnierze rozbili obóz i położyli się spać, zarządzwszy naturalnie wszelkie środki ostrożności przeciwko możliwemu napadowi drapieżników.

Nagle w nocy kapitana i żołnierzy jego zbudził z snu straszliwy ryk tygrysów. Oddział zerwał się do marszu i pospieszył w stronę, skąd dochodziły odgłosy szalejących bestji. Szli długo gotując się do walki z drapieżnikami, aż wreszcie dotarli do roz-

ległej polanki i tu oczom ich przedstawił się widok, mrozący szpik w kościach.

Cała polanka ociekała krwią. Na ziemi leżało mnóstwo poszarpanych szczątków ludzkich, a na drzewach dokoła wisiały na gałęziach, nisko nad ziemią, szeregi trupów. Gromada tygrysów uganiała się po polance, chłepcząc krew i wydzierając sobie ochłapy ciała.

Żołnierze z całą ostrożnością otoczyli polankę i rozpoczęli ogień z karabinów. Część drapieżników padła, część umknęła.

Przeglądając wiszące na gałęziach trupy, żołnierze znaleźli jednego żyjącego jeszcze człowieka, choć strasznie okaleczonego. Zniesiono go na ziemię, przywrócono do przytomności i wtedy nieszczęśliwy opowiedział straszliwą historję.

Dwaj bracia, Quang-Ten i Ong-Keo walczyli z sobą o tron państewka. Quang-Ten zwyciężył wreszcie brata, wziął go do niewoli i wojsko jego rozbił. I wtedy dokonał okrutnej pomsty. Brata i wszystkich jego stronników kazał spętać i przywieść do miejscowości, zamieszkaną przez tygrysy. Tu ich przywiązano do drzew, następnie poobcinano wszystkim ręce i rozrzucano je pod zungli, aby przynęcić niemi na polankę tygrysy.

Niektórzy z jeńców zmarli z upływu krwi wcześniej, wielu wpadło w omdlenie. Ale tych w nocy doprowadził do przytomności straszliwy ryk stada drapieżników, które przybiegły, znęcone zapachem krwi. Rozpoczęła się okropna scena szarpania żywych jeszcze ludzi na kawałki przez dzikie zwierzęta.

I ocalony przez żołnierzy krajowiec również zmarł wkrótce.

Kronika polityczna.

Stanowczo nie ma hr. Stuerghk, prezes gabinetu austriackiego, powodzenia w swych usiłowaniach pogodzenia Czechów i Niemców. Profesor Bachmann jako przewodniczący partji liberalnych Niemców w Czechach wystosował list do prezesa gabinetu z oświadczeniem, że jego stronnictwo nie będzie uczestniczyło dalej w rokowaniach. W Wiedniu panuje przekonanie, że wobec tego całą obecną akcję ugodową można uważać za rozbitą. W tych warunkach zwołanie rady państwa na początek marca wydaje się bezcelowe, gdyż niewątpliwie zaraz z samego początku obrad wybuchnie obstrukcja, uniemożliwiająca wszystkie uchwały dla dobra państwa.

Niemcy nie przeprowadziły jeszcze w praktyce uchwalonej w roku zeszłym ustawy zbrojeniowej, na mocy której będą niebawem miały blisko 800,000 wojska pod bronią, alści związek zbrojeniowy całą siłą agituje już za dalszem pomnażaniem wojska.

Rosja — dowodzą apostołowie Marsa — utwo-

rzyła trzy nowe korpusy i zamknęła porty dla flot obcych, zaś Francja powiększyła swą siłę zbrojną tak, że liczy obecnie około 100 tys. żołnierzy więcej niż Niemcy. Etat wojskowy Francji podwyższono z 860 na 1,410 milj. franków.

Francja ma mieć jeszcze na kilka lat przewagę nad Niemcami, o ile rozchodzi się o liczbę żołnierzy wyćwiczonych. Rząd francuski ściągnął na mocy nowej ustawy młodzież 20-letnią do służby. Obliczał, że osiągnie przez to około 140 tys. żołnierzy, ale rzeczywiście lekarze francuscy uznali jako zdalnych 200,150 i wszyscy zdadni powołani zostali pod broń. Do tego doliczyć należy około 20 tys. ochotników, rekrutów z kolonji, kapitulantów, rekrutów czarnych, żółtych i t. p. Z pomiędzy zażądanych 1,410 milionów franków rząd na przeprowadzenie trzyletniej służby wojskowej przeznacza 655½ milj. fr., o 224 milj. fr. więcej, niż dotychczas przypuszczano. Wszyscy rekruci mają odtąd całkiem odsłużyć swoje trzy lata, a nikt nie otrzyma już urlopu kilkumiesięcznego na końcu swojej służby, jak dotychczas bywało z względu na oszczędność i gospodarę krajową.

Wywody wszechniemieckiego związku zbrojeniowego są obłudne. Faktem jest, że Niemcy rozpoczęły nową erę zbrojeń w roku 1913 ustawą, pomnażającą wojsko niemieckie co rok o 68 tys. żołnierzy. Parlament niemiecki uchwalił 1 miliard marek wydatku jednorazowego. Jasną było rzeczą dla każdego polityka, że trójporozumienie na takie zbrojenie odpowie nowymi wysiłkami zbrojnymi, tem więcej, że i Austro-Węgry i Włochy również powiększyły armję.

Właśnie bezustanne zbrojenia i wydatki niesłychane na cel ten wytwarzają niechęć najszerzych mas do militarizmu, o co starają się wśród publiczności niemieckiej przede wszystkim socjaliści i ich prasa. Przeciwmilitaryzm krzewi się i robi postępy niewątpliwe.

Książę Radolin na Jarocinie w W. Ks. Poznańskim sprzedał niedawno majątek swój; Panoszów na Szlązku, hr. Schliebenowej, która już po kilku miesiącach odprzedała go p. Chłapowskiemu z Turwi. Panoszów obejmuje 13,500 morgów magdeburskich.

Fakt przejścia tak znacznego obszaru ziemi w ręce polskie w prowincji, nie objętej ustawą co do przymusowego wywłaszczenia, wywołał alarm w prasie hakatystycznej. Z rąk niemieckich przeszedł też świeżo w ręce polskie piękny majątek Osie, w pow. świeckim, w Prusach królewskich.

Obok tych pocieszających objawów odzyskiwania ziemi przez obywateli wielkopolskich, nie brak niestety także faktów ujemnych. I tak włościanie Paszotta i Gryza sprzedali kolonistom niemieckim, bez wszelkiej materialnej konieczności, dwa piękne gospodarstwa polskie, obszaru po 110 morgów, które od 100 lat były w rękach polskich.

Postępy lotnictwa.

(dok.)

Trzeba przyznać, że znaczna część zasługi udoskonalenia płatowca w trzecim okresie rozwoju lotnictwa należy się Blériotowi, który tym sposobem uwieńczył swoje dzieło z epoki drugiej. Tymczasem wykonano do tej pory zaledwie część jego programu, który brzmi:

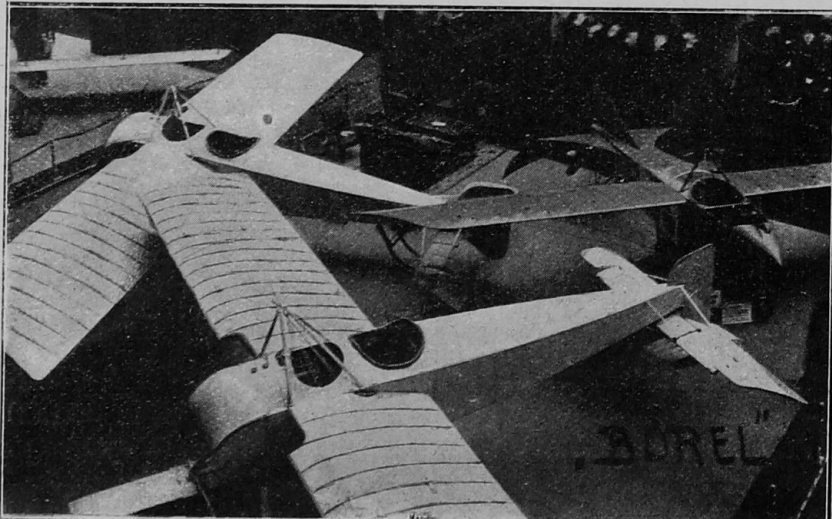
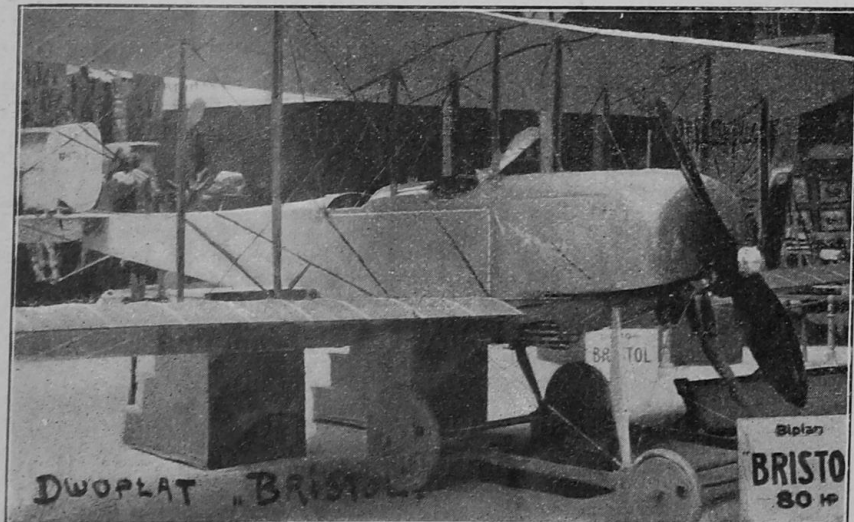
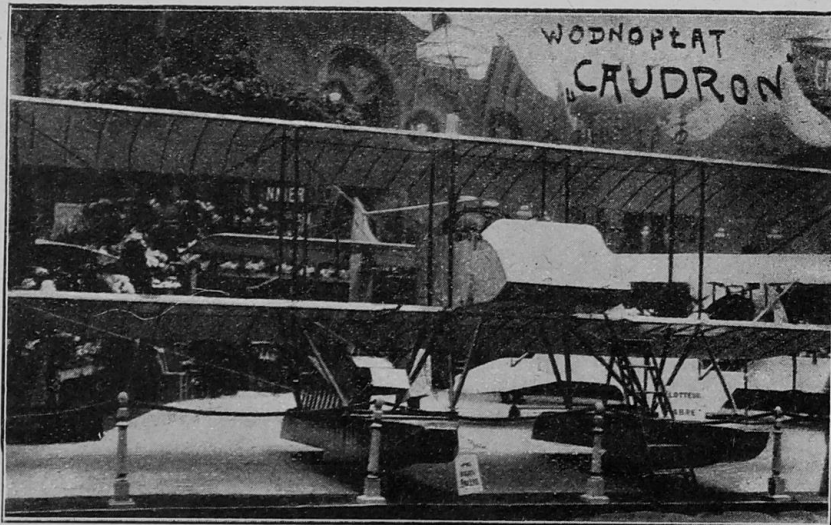
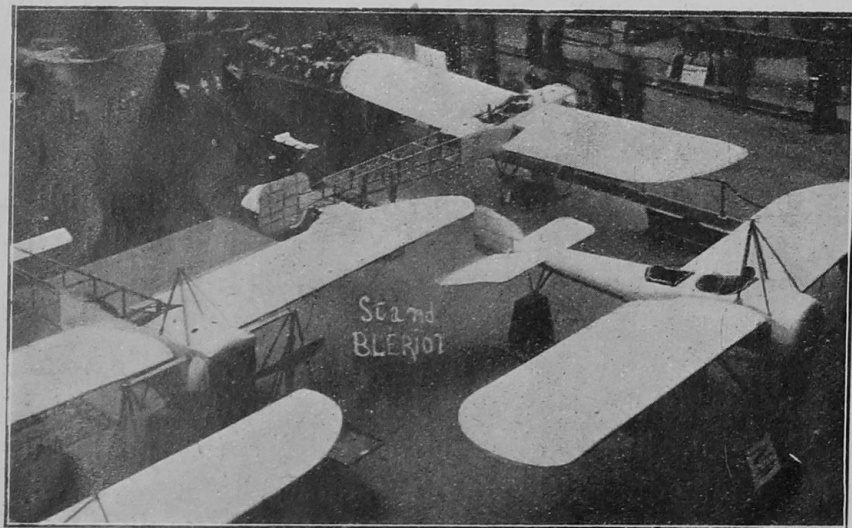
- 1) przewrócić aparat czołem na przód i zyskać znów dawne położenie;
- 2) to samo na bok;
- 3) wykonać lot planowy na grzbiecie skrzydeł;
- 4) planować bokiem na dół lewym i prawym skrzydłem;
- 5) wykonać lot na dół po zatrzymaniu motoru, ogonem naprzód;
- 6) nie używać przez pewien czas steru;
- 7) opuszczać przy pomocy spadochronu zwierzęta i 8) ludzi.

Tego rodzaju działań nie zna nawet przyroda. Blériot, niegdyś przesładowany najbardziej niepowodzeniem na polu lotniczym, dziś z kruka przedzierzgnął się w orła, w mistrza, który ustawiczną pracą rozwiązuje jedną zagadkę po drugiej, a do wykonywania swych zamiarów wybiera takich śmiałych, młodzieńczą energią obdarzonych ludzi, jak: Pégoud i Chevillard, którym w całej pełni należy się nazwa pierwszych prawdziwie latających ludzi.

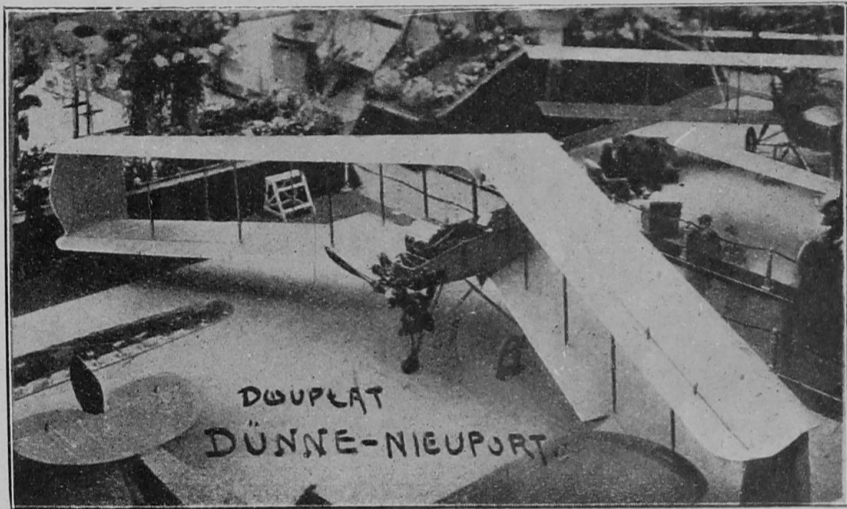
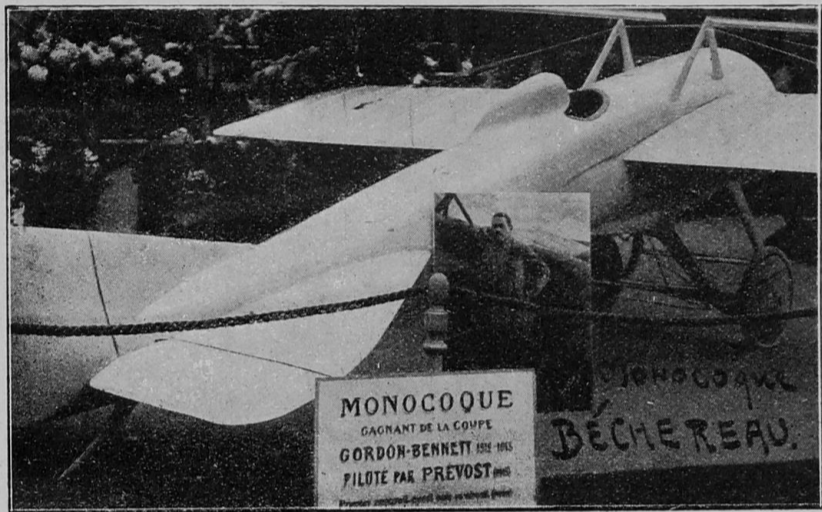
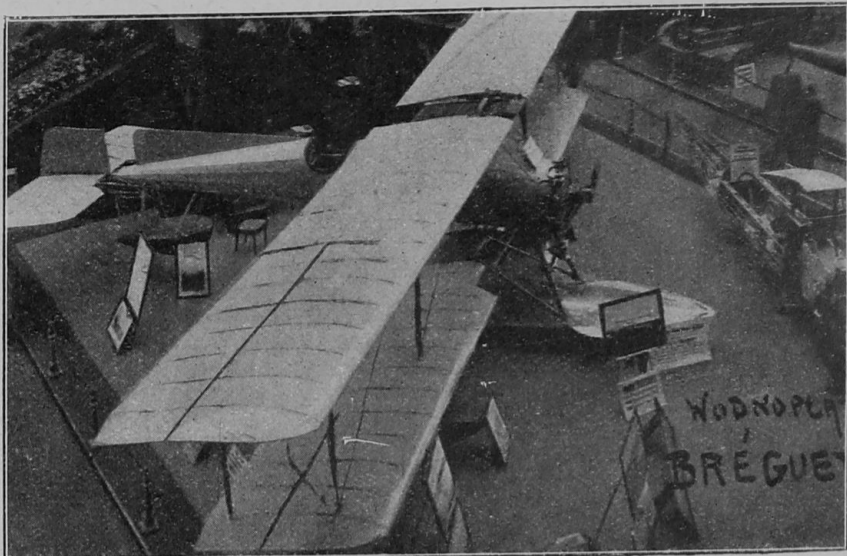
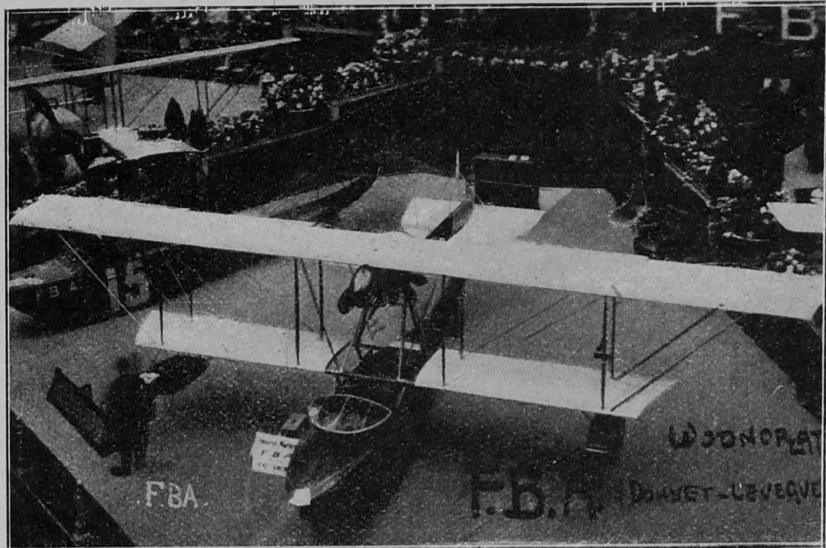
A równocześnie nie ustają w czynności warsztaty techniczne, z których niemal codziennie wychodzą na światło dzienne i wzbijają się w niebotycznych lotach coraz to nowe płatowce.

Coraz baczniejszą uwagę zwraca świat konstruktorów na wodę, jako żywioł bierny, podatny do wypuszczania i przyjmowania aparatu lotniczego. W tym kierunku dążą teraz badania i próby. Chodzi o to przede wszystkim, aby łódź motorowa u spodu płatowca stała w ścisłej łączności z całym aparatem, a równocześnie zapewniła pełne bezpieczeństwo lotnikowi na wodzie. Czyli, że motor musi być przeniesiony do łodzi, tak aby mógł nie tylko służyć do poruszania płatowca w powietrzu, lecz normować także jego ruch na wodzie. Upada zatem teoria zwykłych po dziś dzień pływaków, która nie daje dostatecznej gwarancji dowolnego zatrzymania się na falującym morzu. Sprawa przeniesienia punktu ciężkości hydroplanów do łódki motorowej w ten sposób, aby silnik z propelerem wykonać mógł bezpiecznie swoje podwójne zadanie, na powierzchni wody i w powietrzu, to zagadka, na której rozwiązanie czeka dzisiejsze lotnictwo.

A nie wolno nam przytem przeoczyć ogromnych korzyści, jakie przedstawia nam pomyslnie załatwienie tej sprawy. Płatowiec musi mieć jakąkolwiek gładką przestrzeń, na którą mógłby się każdej chwili opuścić. Nie zawsze daje ją stały ląd, zwłaszcza przy terenie górzystym. Natomiast znajdzie



Najnowsze płatowce



Najnowsze płatowce.

się wszędzie jakiś staw, rzeka, jezioro, gdzie można opaść. Oczywiście muszą być dane do możliwości naprawy motoru, jak wogóle swobodnego poruszania się lotnika na aparacie.

Jest jeszcze jedna kwestja wśr d dziesiątków innych, która wysuwa się dzisiaj na plan pierwszy. Mamy już sposoby porozumienia się telegrafem bez drutu na ziemi i na morzu. Brak nam jeszcze podstaw do stworzenia łącznika pomiędzy obu żywiołami a powietrzem. Czyli, że lotnikowi muszą być dane warunki odbierania wskazówek z ziemi, gdy szybuje nad obłokami i przesyłania na dół swych spostrzeżeń.

Na razie musimy zadowolić się tem, cośmy do tej pory uzyskali. Zróbmy krótki przegląd naszych zdobyczy z doby ostatniej.

Mamy rekord na przelot w ciągu jednej doby w sumie 2,200 km. (Stoeffler), mamy rekor wysokości 6,000 metrów, czyli wyżyn, przewyższających o połowę największą górę w Europie (Perreyon); mamy tegoż pilota najdalszy dystans bez lądowania i zabierania benzyny na odległości 1,200 km. Mamy podróże z Wiednia do Białogrodu bez przystanku (Védrines), nad morzem Śródziemnym i wzdłuż i wszerz stałego lądu Europy. Francuz Sommer posiada aparat, do którego zabiera 13 pasażerów, a obecnie wybudował Sikorski w Petersburgu dwupłato-

wiec z wygodną kabiną, do której zabrać może 22 osoby. Wkrótce będziemy mogli, my lajkowie, latać w powietrzu, jak jeździmy w pierwszorzędnym wagonach kolei żelaznych, a bezpieczniejszym w każdym razie, jak na drodze warszawsko-wiedeńskiej.

A przede wszystkim, co daje lotnictwu przewagę nad wszelką lokomocją naszego spieszącego się stulecia: będziemy mogli przebywać przestrzenie z szybkością 200 km. na godzinę.

Aby wymagać więcej, musimy przyzwyczać się wpierw do tego, cośmy już osiągnęli w tak zawrotnym krótkim czasie.

Lotnictwo zapowiada nie tylko przewrót w sposobie podróżowania, zwalczania odległości i przenoszenia się z miejsca na miejsce; upaść muszą także przestarzałe granice i kordony międzynarodowe, tamujące ruch swobodny na ziemi i wodzie. Bo z chwilą gdy wzmoże się ruch napowietrzny, nikt nie będzie mógł sypać mu tamy w przestrzeniach.

Nowa świta jutrzienka!

Tadeusz Jaworski.



EMIL VERHAEREN.

Najświętsza Panienka.

*

Najświętsza panienska

*W majowy wieczór chodzić się nie lęka,
Po łące, we mgłach, ostrząsając rosę,
Gdzie tylko zwróci białe stopki bose.*

Idzie, by jaka królowna,

*Gibka jej kibić, a szata powiewna,
W pasie podzwania brzękiem drobnych muszek
Srebrny tańcuszek.*

Na obu brzegach strugi

*Kwiatów całe smugi;
Ale panienska wzdłuż nadbrzeżnych zboczy
Śledzi za liją królową,*

I za kosaćcem, czyli ich nie zoczy

Sterczących jako świece z głębokiego rowu.

A potem bierze w rączeta, strudzone

*Wiekową pracą po rozległym świecie,
Pszczołkę, co śpi trzymając skrzydełka złożone
Na zapłodnionym kwiecie.*

Cichutkim ruchem znów, po czasie,

Odczepia kózkę, co się pasie

Przy drodze na powrózku;

I popieściwszy się z kózką,

Lekkuchno ją wiezie,

Idąc na przedzie.

A potem Najświętsza Panienka

U starej lipy na łące przykłęka,

U lipy, co gałęzie jak sztandary wznosi

I szmerem liści jakby milion dziwów głosi.

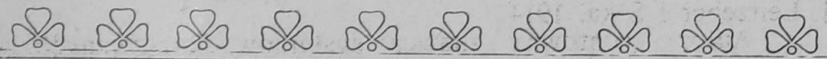
I tak klęcząca składa swe ofiary

Wróżkom dobrym, o których prawi dziadek stary,

A które niegdyś w czasie swego panowania,

Były, jak ona, krasą każdego podania.

Tłumaczył K. F. Wize.



Z blizka i daleka.

Wybory w Tow. Kredytowem m. Warszawy. Nawoływania prasy polskiej w obronie najważniejszej instytucji kredytowej w naszej stolicy przed żydami, okazały się skuteczne. W najbardziej zagrożonej kurji I przeszła lista chrześcijańska, taksamo i kurji II. Pozostała jeszcze kurja III, w której wybory

odbyły się na początku marca. I tutaj właściciele chrześcijańscy kamienie nie dopuścili do zwycięstwa litwaków i sjonistów.

Straszny zamach. Na biskupa grecko-katolickiego w Debreczynie na Węgrzech wykonano zamach dynamitowy, którego ks. Miklossy uniknął tylko przypadkiem.

Pałac biskupi skutkiem wybuchu naboju dynamitowych, zupełnie jest zrujnowany. Pod jego gruzami zginęło sześć osób, ośm wydobyto z ciężkimi ranami. Wybuch nastąpił przed południem i był tak silny, że przeraził ludność najdalszych części miasta. Ludzie zwartą falą spieszyli na miejsce wypadku, gdzie straszny przedstawił się ich oczom widok.

Przyczyny szukać należy w walce rumunów przeciwko rządowi węgierskiemu. Przed kilkoma miesiącami ten ostatni przeprowadził urządzenie biskupstwa grecko katolickiego w Debreczynie z obrzędami w języku węgierskim. Już wówczas nacjonaliści rumuńscy zapowiedzieli obronę swych praw językowych wszelkimi środkami, a odłam ich skrajny dopuścił się czynu, który mogło podyktować tylko zaślepienie fanatyczne.

Do tej chwili stwierdziło śledztwo, że ks. biskup Miklossy w przeddzień zamachu otrzymał list z zapowiedzią darów dla kościoła i dla niego. W istocie nadeszła na drugi dzień skrzynka, przy której otwieraniu w nieobecności biskupa nastąpił straszny wybuch.

Sprawców zamachu już aresztowano.

Mieszkania dla robotników. Na ostatniem posiedzeniu rady Tow. przemysłowców omawiano poruszony przez łódzki komitet handlu i przemysłu projekt uwolnienia od podatków rządowych na pewien przeciąg czasu domów z mieszkaniami dla robotników, budowanych bądź przez Tow. budowy tanich mieszkań lub też przez przemysłowców.

Rada Tow. przemysłowców uznała ten projekt za bardzo ważny i pożądanym i postanowiła go poprzeć.

W tym celu urządzona będzie ankieta wśród większych fabryk warszawskich i prowincjonalnych, celem zbadania mieszkaniowych warunków robotników.

Wniosek łódzkiego komitetu handlu i przemysłu będzie stanowił osobny punkt na odbyć się mającym w maju r. b. VIII ogólnopolskim zjeździe przedstawicieli przemysłu i handlu w Petersburgu.

Niezwykły huragan szalał na południu i zachodzie Francji. Straszna burza wietrzna przybrała w niektórych okolicach rozmiary klęski i wyrządziła ogromne szkody. Zwłaszcza przygotowująca się na rok 1915 wystawa w Lugdunie wielkie poniosła straty. Wszystkie hale i budynki, o ile nie były z żelaza, uległy zniszczeniu. W Bron pod Lugdunem wicher zamienił hangary lotnicze w masę bezkształtną, a 13

płatowców potrzaskał w drobne kawałki. Aeroplany były darem narodowym dla wojska francuskiego. W całej dolinie rzeki Rodanu huragan pozrywał słupy telegraficzne, a w Dijon uszkodził katedrę do tego stopnia, że wieże grożą zawaleniem.

Podobna zawierucha w Szwajcarii wywróciła pociąg pod Genewą, skutkiem czego jeden podróżny jest zabity, kilkunastu zaś ranionych.

Tak samo całe wybrzeże hiszpańskie nawiedziła burza. Wicher zniósł pralnię w Walencji, zabił dwie kobiety i kilka zranił ciężko. Opodal robotników, pracujących na torze kolejowym, burza porwała i wrzuciła do pobliskiego stawu; kilku z nich utonęło, jednego tylko uratowano.

Nowy Jork przykryty jest śniegiem; wszelka łączność z światem przerwana.



ZE SCENY.

Teatr Polski. DZIEJE JÓZEFA, komedia groteskowa w 5 aktach *Włodzimierza Perzyńskiego*.

Silną karykaturę przez pół fantastycznych przez pół żywych osób dał nam znany z subtelnej swej ironji i ciętej satyry pisarz warszawski. Mamy w tych pięciu barwnie połączonych, z werwą i nieustającą pomysłowością pisanych aktach, które mkną w ożywionym dialogu niby pociąg luksusowy, transpozycję biblijnego Józefa na nowoczesne stosunki „konsulatu egipskiego”. Tam, w starożytnym Egipcie kusiła bogobojnego syna Jakóbowego Putyfarowa, aż do rozdarcia na nim płaszcz, którym okrywał swe dziewicze ciało. Tutaj służącego Józefa, który wciąga przez nos pranę prof. Lutosławskiego — przeproszam: Szczytnickiego — kusi baronowa Putyfarowska, a gdy naiwny młodzieniec opiera się lubieżnej damie, ta bez namysłu podrzuca broszkę i pakuje go do kryminału. Z więzienia egipskiego wyszedł castus Josephus, by po wyłożeniu snu Faraonowi stać się rządcą śpichlerzy królewskich i dobroczyńcą braci. Tutaj wyuczony „mądrości życia”, bardzo uświadomiony, a jeszcze więcej obiecujący młodzian osiada na Powiślu jako chiromanta i prof. Nostradamus, aż wreszcie wraca w tryumfie do konsulatu egipskiego, by prowadzić na pasku zdzienniałego i zdegenerowanego barona. Jak w antrakcie odwdzięczyć się będzie pani Putyfarowskiej za „głęboką wiedzę życia”, przykryjmy piękną dekoracją teatru Polskiego.

Daremnieby widz poważny szukał sensu moralnego lub nauki jakiejś w tej grotesce. Perzyński wystawił ku uciesze i zabawie szereg barwnych postaci, z których każda z całą naturalnością obnosi swoje zepsucie i swoje zbrocenia umysłowe, etyczne i fizyczne po scenie. Baron zajmował się baletnicami, czem dawał dowody energii, żywotności i zdrowia; gdy zdradziła go ostatnia z rzędu, niepokieszona jest jego żona i przyjaciele domu. Baronowa dobiera sobie kochanków wśród służby konsulatu; gdy znalazł się tak naiwny Józef, który przekłada nad nią wciąganie przez nos prany i gimnastykę mięśni, Putyfarowa robi go bez skrupułu złodziejem. Zgniła atmosfera domu wytwarza takie kwiatki zatrute, jak Marusia, która również wdzięczy się do Józefa, a całuje z sekretarzem konsulatu. Zdawaćby się mogło, że przynajmniej prof. Szczytnicki obok swych śmieszności w ruchu i giescie, szczerze wierzy w swoją misję leczenia ludzi od zmysłowości za pomocą prany i wiedzy życia. Lecz gdy uczony decyduje się objąć dla zarobku po Józefie, sekretarzu prywatnym barona, jego „salon” chiromantyczny na Powiślu, i tutaj dopatrzeć się w nim trudno czegoś innego jak szarlatana. Poza tem sunie szereg osób epizodycznych: Koszycki, Piórkowski, Wołomiński, „artystka” Norwidówna, przyjaciółka baronowej Siewnicka, pokojówka Emilja, manikirzystka Dudzińska, żydek Silbersztein — wszystkie nie potrzebne, lecz wybornie uzupełniające galerję typów, ożywających scenę, a czasem i wypełniające zreżymowane przerwy w akcji, w treści swej nie zbyt bogatej.

Komedja pisana żywym, błyskotliwym piórem, zręczna w dialogu, wyborna w tonie, daje świadectwo niepospolitego talentu pisarskiego Perzyńskiego, co jeszcze lepiej uwydatnia się w jego dialogowanej powieści o 9 rozdziałach „Dzieje Jó-

zefa”. Komedja stanowi wyciąg tej książki w skróceniu, co nie zawsze wychodzi na korzyść dramatu scenicznego.

Dyrekcja teatru Polskiego uscenizowała sztukę wprost wspaniale, zwłaszcza gabinet i salon bogactwem dekoracji i przepychem akcesorji pięknie sprawiają wrażenie. Na tem tle uwydatniają się świetnie wspaniałe toalety artystek, które są ostatnim wyrazem szyku i mody.

Komedję zagrano pod doskonałą reżyserją Józefa Sosnowskiego w tempie żywym, w tonie naturalnym, w obsadzie ról świetnej. Dowód wszechstronności swego talentu dał Józef Węgrzyn jako prof. Szczytnicki, tworząc doskonały typ apostoła prany, zgoła niepodobny w tonie i ruchach do dawnych koturnowych postaci artysty. Fazy neurastenji i idyotyzmu umiejętnie i dyskretnie stopniował w baronie Putyfarowskim Junosza. Przewrotną baronową grała szczerze Słubicka, żywiołową Marusią była Starska, przebiegłą i zepsutą Siewnicką oddała trafnie Elsnerówna, ośniewając rozmaitością i pomysłowością swych strojów. Doskonałym Józefem był Leszczyński, rozbrajającym w swej pierwotnej naiwności i w końcowym cynizmie. Świetnie przeprowadziła też swe zadania Czarnecka w roli służącej i opiekunki zdradzonej Józefa. W epizodycznych postaciach wyróżniali się: Krysińska, Dybizbański, Zieliński i Jarniński.

Całość była wyborną zabawą dla publiczności, oklaskującej żywo humor satyryczny autora i piękną grę artystów.

T. J.

Filharmonja. W niedzielnym popołudniowym koncercie pod batutą dyrygenta Z. Birnbauma z wielkiem powodzeniem wystąpił skrzypek R. Weinmann, grając z akompanjamentem orkiestry utwory Brucha. Część drugą wypełniła symfonia II Czajkowskiego.

Do numeru niniejszego (10) dołączamy jako bezpłatny dodatek № 5 „SMIECHU”, dwutygodnika humorystyczno-satyrycznego.

Do № 11 „Ziarna” załączymy pierwszą książkę oprawioną w płótno dla tych wszystkich prenumeratorów, którzy uregulowali przedpłatę za kwartał I.

Z piśmiennictwa.

Emil Verhaeren. Dwanaście miesięcy. Tłumaczył Kazimierz Filip Wize. Poznań. J. Leitgeber i S-ka. 1914.

Verhaeren, poeta i filozof flandryjski, jest szczerem i prawdziwym idealistą, którego natchnione wiersze tchną wielką miłością wszystkiego, co warte jest życia. Człowiek u niego jest wykonawcą wyższych zadań, istotą uspołecznioną, dążącą do postępu i ideału.

Szczerem i wiernym tłumaczem poezji Verhaerena jest znany w Wielkopolsce autor dzieł estetycznych i filozoficznych, K. F. Wize. Z przełożonych przez niego wierszy „Dwunastu miesięcy” tchnie głębokie odczucie myśli i słów autora. Jako przykład przytaczamy wiersz „na maj” na innym miejscu naszego pisma, aby dać wyraz ideowych dążeń autora i doskonałego ich odczucia przez tłumacza.

Emil Verhaeren. Obrazy życia. Tłumaczył Kazimierz Filip Wize. Poznań. J. Leitgeber i S-ka. 1914.

Głębokiem przejęciem i odczuciem ducha i strof autora cechowany przekład będzie dla ludzi, którzy szukają natchnienia zdrowego i przejmującej treści u obcych autorów, ciekawym i pożądanym przyczynkiem do poznania rozkwitającej poezji flandryjskiej.

Kazimierz Filip Wize. Nauka o kategorjach. Poznań. J. Leitgeber i S-ka. 1914.

Autor, gruntowny znawca systemów filozoficznych, w dziele swem rozbiiera historyczny bieg nauki o kategorjach, czyli pojęciach zasadniczych myślenia ludzkiego. Książka ta cennym będzie nabytkiem dla uczonych i myślicieli polskich.

Plato Reussner. Samouczek polsko-niemiecki. Warszawa. 1913. Nakładem autora.

Jestto słowniczek wyrazów najpotrzebniejszych w codziennem życiu z wzorami wymowy i ich akcentowania, 486 rycinami oraz objaśnieniem ich znaczenia w językach polskim, niemieckim i rosyjskim. Podręcznik ten dla szybkiego praktycznego nauczania się języka niemieckiego cenne oddać może przysługi.

P. Reussner. Wszedł z druku poglądowy (obrazkowy) **Elementarz Polski** w XXI-em wydaniu, obejmujący 160 stronic druku, zawierający oprócz 155 odstępów tekstu do nauki czytania, także 634 figur i obrazków poglądowych, 363 figur i wzorków rysunkowych i 36 wzorków pisma. Na tym najliczniej ilu-



Echa karnawału w Warszawie. Dnia czternastego lutego artyści „Młodej Sztuki» urządzili przepiękny bal, na który ściągnęli nawet księżaków. Gosposia ze Złakowa Borowego, Janowa Golisowa, z siostrą w towarzystwie męża i Petryny, artyści rzeźbiarza, dobrze znanego w Łowickiem, największe miały wzięcie na balu. Tak się warszawiakom podobał tryskający zdrowiem wygląd i barwny strój ludu.

strowanym podręczniku nauczyć można nadzwyczaj prędko czytać, pisać, rachować i rysować. Wszelkie dodatnie strony tego elementarza postawiły go już oddawna w pierwszym rzędzie najlepszych podręczników. Dlatego też pozyskał on sobie uznanie i szerokie rozpowszechnienie i śmiało go można polecić rodzicom i opiekunom, pragnącym nauczyć bardzo prędko, łatwo, prawie zabawką, dzieci swoje czytać, pisać, rysować i rachować samym bez pomocy nauczyciela. Także i nauczycielom zaleca się ten elementarz do prędkiej nauki uczniów, nawet mało uzdolnionych.

Jan Maciejewski. Sady amatorskie i handlowe. Warszawa. 1913. Są to wskazówki praktyczne, służące do zakładania i pielęgnowania sadów, opracowane starannie przez zawodowca i dlatego polecenia godne.

Jan Maciejewski. Hodowla truskawek i poziomek. Warszawa. 1913. Dziełko dla zawodowców i specjalistów bardzo pożądane, opracowane jasno i ściśle.

Odpowiedzi Redakcji.

WP. A. Z. w R. Oprawę do „Ziarna“ można zamawiać u nas; do całego rocznika kosztuje rb. 2, do półrocznika rubli 1,50. Okładka do rycin „Świątynia sławy narodowej“ kosztuje wraz z przesyłką rekom. 40 kop.

WP. St. Zdziesz w Zbier. Zamówioną przez prenumeratorów okładkę wyślemy wraz z pierwszymi trzema rycinami „Świątynia sławy narodowej“ pod koniec kwartału I-szego.

Szarada.

Cale na cztery części się rozkłada
Jeśli chcesz zgadnąć—taka moja rada:
Pierwszą wraz z drugą możesz znaleźć

[święcie
Śród imion sławnych w starym testa-
[mencie.

Z pierwszą się trzecia w ciepłych kra-
[jach pełni —

I nawet smakosz potrawę z nich ceni;
Zaś pierwszą z czwartą — zlane w je-
[dnem słowie —

Mieliśmy w Polsce z koroną na głowie.
Dalej—gdy druga z czwartą się dogoni,
Znajdziesz ją wszędzie u ludzi i koni,
A dwie ostatnie gdy bez główki złożę
Żyje to, lata i użądlić może.

Wszystko nareszcie nazwiskiem jest
[miasta
Pomyśl no trochę, odgadnij i — basta!

Znaczenie szarady zamieszczonej w nr. 8 „Ziarna“

N O W I N A

Rozwiązanie nadesłali: N. Bujalska, J. Lalas (wierszem), Jan Kotowski z Warszawy, L. Roszkowska z Słucka, Jan Czerwiński z Goleniawy, Marcinkowski z Dobrzyń, Telesfor K. G. z Kocka, Z. Kulesza z Słomnik, J. Waltratus z Romartowa, Z. Kobyliński z Arestowa, M. Wołkowicz z Sarn, Z. Kryńska z Mławy, F. Grosser z Białostoku, J. Kornatowski z Grodziska, S. Kacperek z Kozienic, A. Mocek z Grodziska, I. B. Mazurkiewicz z Chełma, H. Piskorski z Pabjanic, H. Majewska z Suwałk, M. Muda z Siennicy R., A. Roczerginówna z Dzierżnik, T. Klekowski z Pińska, R. Kurdybanowski z Borodziański, Oskólska z Kodymy, St. Kimaczyński z Szczepieszyna, Sz. Górczyński z Wólki Konopnej, A. Chojnacki z Wożuczyna.

Z losowania wypadły nagrody dla p. Jana Kotowskiego z Warszawy i p. Zofji Kryńskiej z Mławy.

TREŚĆ N-ru 10.

O polskość miast naszych. — Piotr Jaxa Bykowski: Pamiętniki włóczęgi. Myszurowe (c. d.).—Krewe. — Do diatwy polskiej, wiersz Ela.— Skutki zbrojeń. — Nieudana ucieczka, nowela. — Szczyt okrucieństwa. — Kronika polityczna. — Postępy lotnictwa (dok.).—Najświętsza panienka, wiersz. — Z blizka i daleka. — Ze sceny. — Z piśmiennictwa.—Odpowiedzi Redakcji.—Szarada i rozwiązanie.—Od Administracji.

Ilustracje. I. W. Godwand: Przy studni. — Ruiny zamku Krewe.—St. Fabjański: Noc św. Jana pod Wawelem w XV w.—J. L. Gérôme: W aronie rzymskiej. — Najnowsze płatowce (8 rycin). —Łowiczenie na balu w Warszawie.

OD ADMINISTRACJI.

Prosimy zalegających z prenumeratą za kwartał I-szy o pospieszne uregulowanie przedpłaty, w przeciwnym razie nie możemy ręczyć za regularne dostarczanie „Ziarna“ oraz za wysyłkę książek i rycin barwnych. Reklamacji późniejszych nie będziemy mogli uwzględnić.

PRZEDPŁATA na tygodnik „ZIARNO“ wraz z wszystkimi 53 dodatkami wynosi w Warszawie rocznie rubli 6, półrocznie rb. 3,00, kwartalnie rb. 1,50, z przesyłką pocztową rocznie rb. 7, półrocznie rb. 3,50; kwartalnie rb. 1,75, zagranicą rocznie koron 20, albo marek 17, półr. k. 10, albo m. 8½, kwart. k. 5 albo m. 4,25 albo 1 dolar.

Adres Redakcji i Administracji „Ziarna“ w Warszawie: Tamka 46, telefon Redakcji 402-44.

Redaktor i wydawca: L. Marjan Wolff.

Kierownik literacki: dr. fil. Tadeusz Jaworski, przyjmuje codz. od 6—7 ppł.

Papier: Krajowej Spółki Papierniczej.

Druk E. Szyllera, Tamka № 46.